WTOREK 7 X 1980 Nr 117 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

JESTEM SZCZĘŚLIWA I... CAŁKIEM ZWYCZAJNA

W każdy wtorek, czwartek i sobotę czytam „ŚM", a głównie „Redakcyjną Pocztę". Wiele osób pisze: „Jestem samotna, pomóżcie!". Właśnie w tej sprawie chcę zabrać głos. Mam 15 lat i ukończyłam ósmą klasę. Jestem dziewczyną przeciętną, lecz mam wiele koleżanek i kolegów. Mam też chłopaka, z którym chodzę już 2 lata oraz swoją naj, najlepszą przyjaciółkę. Zwierzam się jej ze wszystkiego. Biorę czynny udział w życiu podwórka, nawet w najgorszych sytuacjach zachowuję pogodę ducha i uśmiech na ustach. Jestem lubiana; gdy siedzę w domu, telefon się „urywa". Dziewczyny lubią mi się zwierzać, a chłopcy poradzić. Kocham sport (5 lat uprawiam siatkówkę), przyrodę, no i oczywiście dyskoteki. Lubię szaleć na dyskotece i wylegiwać się na trawie mokrej od rosy (choć to niezdrowe). W niedzielę lubię jak mi mama podaje śniadanie do łóżka, a czasem jest odwrotnie – ja to robię. Mam psa oraz kota i dzięki nim w domu jest wesoło. Tak jak każdy człowiek mam swoje wady, których wymieniać nie będę. Chcę tylko przedstawić obraz dziewczyny szczęśliwej, a zarazem całkiem zwyczajnej. Proszę, wydrukujcie choć część tego listu, może moi rówieśnicy zrozumieją, że po szczęście wystarczy tylko umiejętnie sięgnąć ręką i już jest!

„Anka"

ZIELONY MARMUR NA KIELECCZYŹNIE

KIELCE (PAP). Góry Świętokrzyskie już w średniowieczu były miejscem, gdzie wydobywano między innymi rudę srebra, ołowiu i miedzi oraz różnokolorowe marmury. Ostatnio w rejonie miejscowości Iwaniska odkryto duże pokłady zielonego marmuru o niezwykłym bogactwie barw i odcieni. Już wkrótce przewiduje się rozpoczęcie eksploatacji tych złóż. **(kż)**

SZMARAGDY Z KOMPUTERA

ZSRR (PAP). W Instytucie Krystalografii Akademii Nauk ZSRR zastosowano maszynę cyfrową do obróbki sztucznych kamieni szlachetnych. Odpowiedni program opracowany przez naukowców uwzględnia zmianę właściwości, które decydują o różnicach między kamieniami (m.in. skład chemiczny, kształt, ciężar). Dzięki zastosowaniu komputera poprawiła się znacznie jakość obrabianych szmaragdów. **(kż)**

Fot. J. Łopuszyński

Niedziela nad Wisłą

Str. 5

WĘDRUJĄCE GNIAZDO

W pierwszej połowie lipca br. przechodząc przez nieczynny przejazd kolejowy w Miedzeszynie, usłyszałem kwilenie piskląt wewnątrz metalowej rury-szlabanu kolejowego. Chcąc dowiedzieć się jakie ptaki tam „mieszkają", usiadłem nie opodal i czekałem na przylot rodziców.

Po ok. 7 min. przyleciały 2 sikorki bogatki. Wpadły wnet z pokarmem do wnętrza rury i po ok. 6 sek. wyleciały z powrotem. Nic by w umiejscowieniu tego lęgu nie było dziwnego, ale ludzie przechodząc pod zaporami, podnosili je do góry, tak, że gniazdo musiało być w ruchu.

Zdziwiło mnie też, to, że sikorka umiejscowiła gniazdo w bardzo bliskiej odległości – 2 m od torów kolejowych i 3–4 m od szosy.

Wielokrotnie przechodząc pod zaporami słyszałem kwilenie piskląt. Lęg skończył się pomyślnie.

Jacek Budkowski
Warszawa.

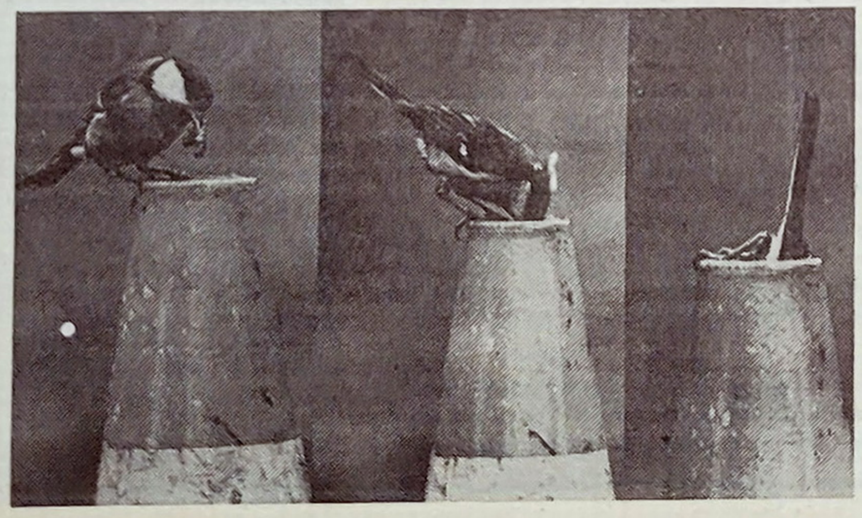

O podobnym przypadku pisał już w swej książce „Ptaki ziem polskich" prof. Jan Sokołowski, przy czym tam sikory gnieździły się w zaporze czynnego przejazdu, toteż sikorze mieszkanie, co rusz wędrowało na wysokość 1-go piętra, po chwili wracając na poziom parteru. Szczególnie lubianym przez sikory miejscem gniazdowania są różne puste w środku słupki i rury wbite w ziemię. Krzątaninę sikory przy tak właśnie umieszczonym gnieździe sfotografował fotoreporter CAF-u. Z kolei przedstawicielowi naszej redakcji udało się zrobić zdjęcie sikorom modrym budującym gniazdo w słupku, na którym była tablica z napisem „Rezerwat przyrody".

(tok)

Fot. **CAF**

AZYMUT WĘGIEL

Ważne dla uczestników konkursu

WKRÓTCE MIJA TERMIN NADSYŁANIA ZGŁOSZEŃ

Przypominamy wszystkim samorządom szkolnym i szczepom harcerskim w całym kraju, które zdecydowały się wziąć udział w VII konkursie „Azymut – węgiel", iż dnia 10 października br. (decyduje data stempla pocztowego) mija ostateczny termin nadsyłania do katowickiego oddziału „Świata Młodych" zgłoszeń uczestnictwa.

Zgłoszenie to, obok pełnej nazwy jednostki zgłaszającej, dokładnego adresu i liczby młodzieży biorącej udział w konkursie, winno być podpisane przez szczepowego lub opiekuna samorządu szkolnego oraz potwierdzone przez dyrektora szkoły. **(mt)**

AUTORZY DEMASKATORSKIEGO ALBUMU DZIAŁAJĄ DALEJ

Po ukazaniu się w numerze 107 z dnia 13 września artykułu pt. „Historia jednego albumu" przyszedł do redakcji list od jednego z bohaterów reportażu, Adama Nowaka z Bydgoszczy.

...„W imieniu własnym i kolegów wyrażam nadzieję, że opis naszej działalności pociągnie za sobą działanie innych. W naszej szkole w najbliższych dniach odbędzie się zebranie wszystkich członków Ligi Ochrony Przyrody. Postaramy się zorganizować wiele grup podobnych do naszej. Hasłem zebrania było wypowiedzenie wojny trucicielom naszego miasta. Może znajdą się w innych miastach grupy podobnie myślących ludzi".

SPOTKANIE NAJLEPSZYCH MODELARZY

WARSZAWA (HSI). XV Ogólnopolskie Zawody Modeli Latających Spółdzielczości Mieszkaniowej odbyły się na lotnisku Bemowo. Wzięło w nich udział 39 reprezentacji najlepszych modelarni spółdzielczych w kraju.

Zawody rozpoczęto pokazami skoków spadochronowych. Następnie 179 modelarzy prezentowało własne modele latające o napędach silnikowych, gumowych i rakietowych.

Tegoroczne zawody były kolejnym przeglądem rocznej pracy instruktorów. Praca ta prowadzona jest w modelarniach, klubach krótkofalarskich i radiotechnicznych. W osiedlach mieszkaniowych działa 635 zespołów technicznych w zajęciach których, uczestniczy ponad 13 tys. dzieci i młodzieży. Największym zainteresowaniem cieszą się właśnie zajęcia modelarskie. XV zawody zapoczątkowały również pracę wzorowego ośrodka modelarstwa lotniczego na Chomiczówce.

Bajeczny stwór na tle hotelu „Bułgaria" w Burgas, to jedna z prac uczniów szkoły ceramicznej, przedstawionych na festiwalu sztuki ludowej

Fot. CAF – Staszyszyn

O tym się mówi:

MIKROELEMENTY ważne dla ludzi i zwierząt

Występują w żywych organizmach w śladowych ilościach, osiągając tu stężenie nie większe niż 50 mg na kilogram. A jednak są absolutnie niezbędne. Ich brak czy niedobór powoduje u nas wiele schorzeń, przeważnie ciężkich lub nieuleczalnych. Ale żelazo, miedź, mangan, cynk, kobalt, jod, molibden, selen, fluor, kadm, chrom, lit, nikiel, bor, stront, krzem i arsen – bo tak się przedstawia, bardzo zresztą niepełna i skrótowa lista mikroelementów – mają znaczenie nie tylko dla ludzkiego zdrowia. Także – dla dobrej kondycji hodowanych zwierząt gospodarskich, a więc koniec końców – dla jakości mięsa, jakiego nam dostarcza ich hodowla.

Jednocześnie tych substancji jest w środowisku, a więc i w paszach coraz mniej. Zauważono np. że melioracja, zmieniając stosunki wodne w glebie, prowadzi często jednocześnie do zubożenia jej wierzchnich warstw w rozpuszczalne formy mikroelementów. Najmocniej przyczynia się jednak do ich rugowania wprowadzenie do środowiska nowych substancji, co następuje w związku z nawożeniem, ale np. też w związku z zanieczyszczeniem gleb i wód przez przemysł. Skutek tego bywa taki, że niektóre spośród pierwiastków, tworzących listę mikroelementów, zaczynają wiązać się chemicznie z innymi, tworząc w efekcie substancje obojętne, lub wręcz nieprzyswajalne dla żywych organizmów.

Brak mikroelementów ma dla hodowli skutki opłakane. Przede wszystkim czyni zwierzęta bardziej podatnymi na wirusowe i bakteryjne zakażenia. Niedostatek pewnych mikroelementów jest też przyczyną narodzin zwierząt upośledzonych, a także nieprawidłowego rozwoju tych, które przyszły na świat zdrowe. Np. brak miedzi powoduje deformacje kości, odbarwienie sierści i wełny, wreszcie choroby serca. Nie mniej niekorzystny wpływ na kościec ma też niedobór manganu. Brak tego pierwiastka prowadzi też u zwierząt do niewłaściwego przyswajania tłuszczów. Z kolei brak jodu wywołuje zaburzenia, jakie zwykle towarzyszą niedoczynności tarczycy – itd.itd.

Toteż specjaliści starają się ostatnio intensywnie przeciwdziałać temu złu, dbając o wprowadzenie do gleb i pasz tych cennych pierwiastków. Na coraz większą skalę zaczyna się m.in. stosować zawierające je tzw. mikronawozy chelatowe. Podaje się je zwierzętom w postaci mieszanek mineralnych – w wodzie do picia, przy pomocy zastrzyków albo w formie lizawek. Te ostatnie, opracowane w Instytucie Zoohigieny i Profilaktyki Produkcji Zwierzęcej, są wytwarzane przez Niedomickie Zakłady Celulozowe oraz kopalnię w Wieliczce. Roztwory mikronawozów dodaje się też do kiszonek (stanowią w nich przy okazji środek konserwujący). Są one też wprowadzone do gleby i do liści roślin pastewnych. Wszystkie te poczynania poprawiają wprawdzie sytuację, nie są jednak w stanie całkowicie powstrzymać ubytku mikroelementów. Aby to się udało, trzeba gruntownie zmodernizować sposoby gospodarowania. Jak dotąd – niezbyt nam to wychodzi... (tok)

O JABŁKACH można nieskończenie...

...są to bowiem najbardziej popularne owoce naszej strefy klimatycznej. A, że znamy je już od dobrych kilku tysięcy lat, to i wspominają o nich najdawniejsze nawet opowieści. Jak choćby ta biblijna salomonowa „Pieśń nad Pieśniami":

„Jak jabłoń wśród drzew leśnych, tak ukochany mój wśród młodzieńców. W cieniu jego upragnionym siadłam, a owoc jego słodki memu podniebieniu..."

Co prawda badacze opowieści biblijnych nie są do końca zgodni co do tego, czy owocem podsuniętym pramatce Ewie przez podstępnego węża było właśnie jabłko, ale nie wchodźmy zanadto w szczegóły tych sporów. Musielibyśmy bowiem przy sposobności wywrócić do góry nogami całą wspaniałą tradycję malarską, która zawsze każe Ewie przyjmować od kusiciela właśnie jabłko, a nie banana, morelę albo nawet daktyla jak sobie tego życzą dyskutanci. Choć i takie wersje owego wydarzenia istnieją...

Faktem natomiast bezspornym jest, iż ojczyzną naszych dzisiejszych papierówek, cortlandów czy malinówek są lasy Kaukazu, Azji Środkowej i Chin. Do dzisiejszego dnia występuje tam przeszło 20 gatunków dzikich jabłoni. Niektóre z nich – oraz ich mieszańce – sadzone są i u nas w parkach i osiedlach dla ozdoby. Ich owoce są jadalne, choć nie wszystkie przypominają jabłka. Np. w parku Krasińskich w Warszawie, obok którego mieszkam, rośnie kilka jabłonek mających owoce na długich ogonkach, skupione niby czereśnie i takiej właśnie wielkości. Po dojrzeniu stają się one zupełnie żółte, niby maleńkie cytrynki i utrzymują się na drzewach nawet wtedy, gdy już wszystkie liście opadną. Natomiast na moim osiedlu rosną bardzo piękne jabłonki o kwiatach i liściach intensywnie czerwonych. Ten mieszaniec – znany jest pod nazwą „rajskich jabłuszek". Jego czerwone owoce średnicy 2–4 cm, smażone w całości w syropie stanowiły specjalność naszych babć. Takie jabłonki, całkowicie wytrzymałe na mróz, uprawiać można nawet w klimacie bardzo surowym, w północnych rejonach świata, lub na dużych wysokościach. Są one tam nadal dostarczycielami jabłek, które choć niewielkie, są dość smaczne.

NA POCZĄTKU BYŁA JABŁOŃ NISKA

Rosła sobie w lasach Kaukazu i mimo że jest jednym gatunkiem, odznaczała się tak wielką zmiennością form, że trudno było znaleźć dwa drzewa podobne do siebie. Również i ich owoce są różne. To właśnie sprawiło, że drogą selekcji i krzyżówek wyhodowano z tego gatunku tysiące nowych odmian. Te z kolei są nadal ulepszane, krzyżowane z innymi gatunkami, a wszystko po to aby uzyskiwać coraz to smaczniejsze owoce o różnych cechach: dojrzewających dopiero w lutym, marcu następnego roku, odpornych na choroby i urazy mechaniczne, odpowiedniej wielkości itp.

Obecnie spisy odmian otrzymywanych drogą hodowli liczą już ponad 10 000 pozycji, z których w uprawie utrzymuje się zawsze około 100.

CO Z TEGO ZIARNKA WYROŚNIE?

Każdy kto zetknie się po raz pierwszy z botaniką czyli nauką o roślinach jest przekonany, iż z wysiewu nasion otrzymuje się takie same osobniki jak te, z których pochodzą nasiona. Istotnie, tak jest, ale w przypadku niektórych tylko roślin. Niestety jabłonie do nich nie należą...

Jeśli ktoś z Was ma kawałek ziemi i trochę czasu do dyspozycji – no, powiedzmy, jakieś 10–15 lat – może przeprowadzić pouczające doświadczenie. Należy tylko wziąć kilka dojrzałych jabłek najlepszych odmian i wysiać ich ziarenka. Kiedy siewki zaczną owocować (właśnie dopiero po 10–15 latach) wtedy się okaże, że każde drzewko jest inne i rodzi zupełnie różne owoce najczęściej małe i kwaśne – typowe dziczki. Z jabłkami, z których pochodziły nasiona – nie mają one nic wspólnego.

Skąd więc biorą się te piękne sady, w których na setkach często hektarów rosną takie same jabłonie jednej odmiany? – zapyta ktoś.

No właśnie, w tym tkwi cały urok pracy sadowników, która w dużym skrócie przebiega tak:

● Najpierw sieje się wyselekcjonowane nasiona czyli ziarnka jabłek (niesłusznie zwane pestkami – bo pestki mają wiśnie, czereśnie, śliwki itp.) w specjalnych szkółkach.

● Kiedy maleńkie roślinki wyrosną – zwykle drugiego roku, szczepi się na nich odmiany szlachetne. Szczepienie polega na obcięciu czubka siewki i połączeniu tego co pozostało z maleńką odpowiednio przyciętą gałązką z jabłonki znanej odmiany. Te dwie części szybko się zrastają i w ten sposób dorosłe drzewo składa się niejako z dwóch organizmów: jednego, od którego pochodzą korzenie i drugiego, z którego tworzy się korona. Na niej zaś będą wyrastały jabłka, takie jakie zaszczepiliśmy.

● Gdyby teraz spróbować wysiać nasiona z tych jabłek – wyrosłyby znów nie wiadomo jakie jabłonki. Z tego wynika, że wszystkie odmiany szlachetne jabłoni są szczepione – i tak jest naprawdę.

Oczywiście i tutaj zdarzają się wyjątki, które tylko potwierdzają tę regułę...

HISTORIA OGRYZKA WYRZUCONEGO ZA STODOŁĘ

Niezwykła jest historia powstania jabłoni, której owoce uważane są obecnie za najsmaczniejsze w świecie. Jabłonie te sadzone są i u nas, w całym świecie jest ich wiele milionów w kilku typach, i wszędzie dają jabłka bardzo smaczne. Te wszystkie drzewa pochodzą od wspólnego przodka. Było nim... jedno ziarnko wyrzucone w roku 1876 wraz z ogryzkiem, za stodołę pewnego farmera kanadyjskiego nazwiskiem McIntosh. Z ziarnka wykiełkowała siewka, przypadkowo przetrwała, rozrosła się w drzewo i wydała wspaniały plon – jabłka jakich dotąd nie było! Potem gałązki tej jabłoni, szczepione na różnych jabłonkach dawały owoce odmiany nazwanej na cześć owego farmera – McIntosh. Takie

JERZY DĄBROWSKI

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Niby każdy to wie...

Poznałam Jacka w zeszłym roku. Na lekcjach siedział w ostatnich ławkach, gdzie zwykle usadawiają się ci, którzy nie marzą o częstych odpowiedziach. Ostatnie ławki są zawsze najbardziej okupowane, ale zastanowiło mnie dlaczego Jacek siedzi sam. Nie lubili go koledzy, nie lubili nauczyciele. W pokoju nauczycielskim zawsze było coś nowego o Jacku. Wszyscy z furią opowiadali o jego wyczynach.

– ...Spóźnia się na lekcje bez przeproszenia, to znowu w trakcie wychodzi bez słowa.

– A na dodatek już trzeci raz w tym miesiącu zepsuł pianino – skarży się pani od śpiewu.

– Jak długo go będziemy znosić?!

– A może on jest psychicznie chory i można go przenieść do szkoły dla tych nie bardzo normalnych?

– Nie, ja już do tej klasy nie pójdę za skarby świata!

Takie są głosy nauczycieli.

Pytam kolegów Jacka jak to z nim jest:

– Dziwny – mówi Agata. – Nigdy w niczym nie pomoże; nic nie pożycza.

– Po lekcjach idzie do domu i tyle go widać.

– Jest zły, złośliwy. Robi w klasie głupie numery, nawet my go mamy dosyć.

Jak to się dzieje, że Jacek jest tak zupełnie przez wszystkich odrzucany? Czy można mu pomóc i w jaki sposób? Prosiłam, żeby do mnie wpadł pogadać, ale nigdy nie przyszedł. Może bał się mnie i mojego szkolnego przezwiska „psychiatra"...

Postanowiłam odwiedzić go w domu. Widok mieszkania, jakby nie było w centrum stolicy, przeszedł moje oczekiwania. Ojciec Jacka, jak się okazało, jest nałogowym alkoholikiem. Pije codziennie, wynosi sprzęty z domu, a gdy ktokolwiek chce mu w tym przeszkodzić, rzuca się i bije tak mocno, że zarówno Jacek jak i matka byli już kilka razy na pogotowiu.

Teraz Jacek znalazł się w dużo trudniejszej sytuacji. Jego matka od dwóch miesięcy przykuta jest do łóżka, do chłopca więc należy kupowanie i przygotowywanie jedzenia, a także obrona jej przed rozwścieczonym ojcem. Dużo zrozumiałam po tej wizycie w jego domu, a i Jacek nabrał do mnie zaufania. Zaczął przychodzić, chciał ze mną rozmawiać.

„...Szkoła jest dla mnie koniecznością. Wiem, że muszę ją skończyć, ale naprawdę nie zawsze mam możliwości przychodzić i siedzieć po sześć, siedem godzin. Denerwuję się, że matka jest sama, boję się o nią. Nie może się przecież ruszyć z łóżka. Wiem, że koledzy mnie nie lubią, bo nie jestem wesoły, towarzyski – jak oni. Może jednak pani mi powie o czym ja im mam mówić, czy o tym, że muszę być taki dorosły, że nie mam tych wszystkich gier i zabawek, które oni znają, że nie chodzę do kina, ani nie oglądam TV? Jestem pewien, że tego nie zrozumieją, będą się jeszcze śmiać. Lepiej więc chyba, że jest tak jak jest, że uważają mnie za szkolnego głupka. Ja się już do tego przyzwyczaiłem..."

Jak skomplikowana może być młodość nawet 13-letnich chłopców, jak nie można oceniać ludzi tylko po zewnętrznych znamionach zachowania... Niby każdy to wie, rozumie, a jednak...

Zabiegani nauczyciele nie zawsze mają czas i ochotę zastanowić się dlaczego Jacek czy Tomek tak się zachowują i co też może być tego powodem. Tak samo upraszczają sprawę ostrym osądem koledzy. Temu podobne sytuacje istnieją w wielu środowiskach, zarówno młodzieżowych, jak i dorosłych. To, co nazywamy niekiedy „nietypowością" czy „przykrym usposobieniem" często w istocie rzeczy jest po prostu reakcją na nieszczęśliwe życie, źle zrozumianą samoobroną przed obcym, wrogim otoczeniem. Spróbujmy to sobie przemyśleć.

KATARZYNA PUŁAWSKA

WYNALAZCA W DNIACH TRUDNYCH

Jechałem do Poniatowej w niedobrym dla rozmów o sukcesach okresie – w całej Polsce zaczynała się dopiero fala strajków, niezadowolenie nabrzmiewało jak balon. Ludzie chcieli mówić o tym, co ich boli, denerwuje, co im po prostu utrudnia normalne życie. A tu raptem ktoś, kto widzi osiągnięcie, kto chce rozmawiać tylko o tym... Już w biurze przepustek okazało się, że strzał w „temat" był jednak trafny. – Tomasik – oświadczyła panienka zza szyby – tak, to jest sprawa nawet teraz. Bo tu nie ma żadnego naciągania, tu się wszystko trzyma całości bez bujdy...

Idę więc na górę, do jakiegoś pokoju, lekko zgłupiały. Wszędzie pełno ludzi, przyglądają mi się uważnie – co tu taki gość z magnetofonem może teraz robić? Wreszcie: – Siadaj pan, Henio zaraz przyjdzie...

Wybór

Klasyczna pralka to blaszany cylinder, wirnik i serce wszystkiego – silnik elektryczny. Tego typu pralki działają w naszych domach przeciętnie po dziesięć – piętnaście lat, przeważnie bez większych awarii. Naciskam przełącznik, światło w mieszkaniu przygasa na moment – i kręci się. Czasem tylko słyszy się, że komuś tam spalił się silnik, bo nogawkę spodni wkręciło w wirnik. Tego przygasania światła i palenia się silników jest i będzie coraz mniej. Inżynier Henryk Tomasik pracuje w zakładach „Predom-Eda" w Poniatowej od lat siedmiu i tą sprawą też już się zdążył zająć.

Predom-Eda jest producentem silników do sprzętu zmechanizowanego używanego w gospodarstwach domowych. Pralki, także te automatyczne, miksery, wentylatory stołowe. Napędzane czymś, o czym uczymy się w szkołach jako o rzeczy dawno wymyślonej, dopracowanej do końca, w której nic się już nie da zmienić. A jednak... Od chwili ukończenia studiów na Politechnice Warszawskiej i podjęcia pracy w Poniatowej Henryk Tomasik zgłosił dwadzieścia cztery wnioski patentowe i racjonalizatorskie! Część patentów ważna jest również w krajach o przodującej technologii wytwarzania maszyn elektrycznych. Wszystkie wnioski racjonalizatorskie, tyczące się sposobów produkcji podstawowej „Predom-Edy", realizowane są już praktycznie od dłuższego czasu. Ot, choćby inny sposób uzwajania i konstrukcji silników do pralek wirnikowych, ten właśnie, który powoduje łagodne włączanie, dłuższą żywotność całego urządzenia i mniejszy pobór energii elektrycznej.

W tym roku inżynier Tomasik wybrany został jednym z 20 najpopularniejszych młodych Polaków. W wieku lat dwudziestu siedmiu.

Lista

– Ma pan samochód?
– Nie mam.
– A chciałby pan mieć?
– Pewnie, chociaż... nie, to nie jest dla mnie taka konieczność, w każdym razie nie na tyle, żebym nie mając talonu biegł na giełdę i dawał zarabiać jakimś pośrednikom. Obiecali w firmie, że może uda się jakoś wygospodarować przydział na malucha dla mnie, więc czekam spokojnie.
– Jakiś domek na wsi, marzenia o łodzi żaglowej?...
– Daj pan spokój, ja nie mam na to czasu, mnie się marzy bardziej dostęp do dobrych, fachowych książek, porządek na niektórych wydziałach w zakładzie, może więcej samodzielności przy projektowaniu i wprowadzaniu do produkcji różnych pomysłów. Teraz to wszystko za długo trwa, za dużo jest tych poprzeczek do przeskoczenia. A poza tym – widzi pan, ja skończyłem uczelnię techniczną, jestem inżynierem i myślę jak inżynier. Mnie denerwuje sposób wykrawania blach do budowy silników, bo to co się dzieje teraz to jest rozrzutność, niepotrzebne pieniądze i zbyteczna praca. Mnie zadziwia i po prostu wkurza to, że aby zbudować jeden mikser trzeba wozić części do niego po całej Polsce. Zresztą po to, by okazało się, że podobnych urządzeń jest na rynku kilka typów, zupełnie nie wiadomo po co.
– Panie Tomasik, czy pan w takim razie chce powiedzieć, że te wszystkie wnioski racjonalizatorskie, jakie składał pan w fabryce, przyjęte i czekające na przyjęcie patenty są jedynie źródłem niepokoju, kłopotów i nic panu nie dającą udręką?

Sercem – a może raczej mięśniami – każdej takiej maszyny jest silnik elektryczny. Od jego sprawności zależy działanie wszystkich mechanizmów. I okazało się, że i w tej od dawna znanej maszynie można wiele usprawnić...

Młynki do kawy, miksery, roboty – dla inżyniera Tomasika problemem jest nie jednostka napędowa, a sposób jej dostarczania do ostatecznego montażu. Zmienić – ba, to wymaga zaangażowania niejednej osoby...

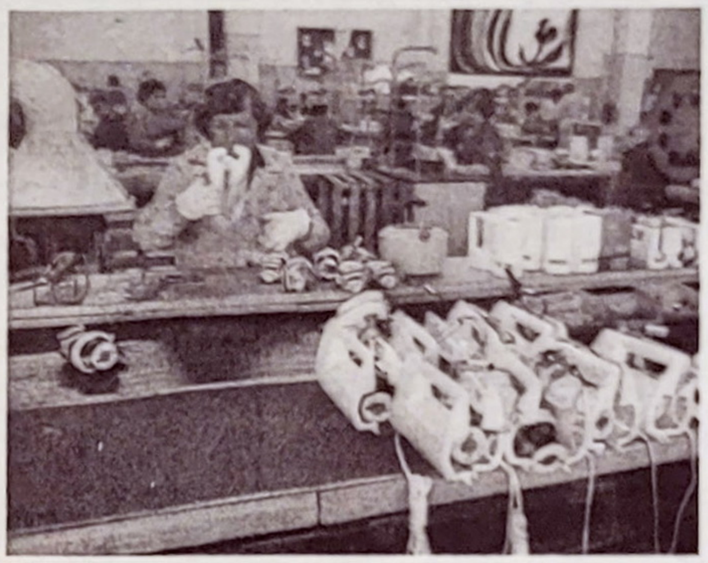

– Nie. Jest takie pojęcie, którego celowo nie używam, może ze względu na skomplikowany opis. To jest rodzaj dumy, wewnętrznej satysfakcji. Ja wiem, w jaki sposób sam to czuję. Nie wiem natomiast, czy w słowach nie zabrzmiałoby to banalnie, tak bardzo gazetowo. Ja mam coś, co chcieliby mieć dzisiaj także ludzie z fabryki – zadowolenie z siebie, z własnej roboty, z wykorzystanych możliwości. Tak, z tych pieniędzy, które dostałem do tej pory również. Gdybym jednak miał wybierać jakąś kolejność moich zadowoleń, to forsa byłaby na końcu listy.

– Czuje się pan popularny? Jak pan na to reaguje?

– Szczerze: czuję się popularny. A reaguję na to różnie. W fabryce, w stosunku do ludzi, których znam to nie jest żaden kłopot. Gorzej z obcymi. Wie pan, ja zawsze podejrzewam, że ktoś mógłby na przykład tak mnie opisać, by nasuwał się jeden wniosek: ludzie, bądźcie, a przynajmniej udawajcie, że jesteście Tomasikami. To byłaby dla mnie wielka przykrość, a w ogóle piramidalne głupstwo. Chciałoby mi się wówczas protestować: ludzie, bądźcie sobą i róbcie najlepiej to, co umiecie w zdobytym fachu, zawodzie. Bo zdaje mi się, że wówczas nabywa się prawa żądania, aby nas inni uznawali, żeby szanowali naszą robotę, nie przeszkadzali w niej.

* * *

Panienka w biurze przepustek: „... tu się wszystko trzyma całości bez bujdy..." To prawda – mnie też się tak wydaje. Problem polega jedynie na przekonywającym opisie owej „całości bez bujdy". Inżyniera Tomasika w całości opisać się nie da już choćby dlatego, że w tych dniach do Urzędu Patentowego powędrował kolejny przezeń podpisany wniosek. Całość stale się uzupełnia...

MAREK ZARĘBSKI

Fot. **Marek Szymański (czarno-białe) i archiwum (kolor)**

Czy zaraz koniecznie MARATON

II Maraton Pokoju. Wśród tysięcy zawodników dostrzegłem wiele 12-13-letnich dziewcząt i chłopców. Zdenerwowani stali obok swoich opiekunów. Do linii mety dzieliło ich dokładnie 42,195 km. Przygotowywali się do tego startu długo. Niektórzy nawet cały rok. Przebiegli setki kilometrów. Pragnęli się teraz sprawdzić, na własnej skórze doświadczyć trudów maratońskiej trasy. Byli tacy, co zamierzali przebyć ją w spacerowym tempie, na dodatek przerywanym turystycznym marszem. Na mecie zjawiali się w kilka godzin po zwycięzcy. Zupełnie inaczej biegł Krzysiek Lewandowski. Ten 13-letni uczestnik imprezy znalazł się w czołówce zawodów. Ale prawdziwą sensację wywołał 6-letni Tomek Marczak. Także pokonał morderczą trasę. Wszystkich uczestników tegorocznego maratonu było niemal dwa i pół tysiąca. Wśród nich sporo nastolatków. Obserwowałem ich bardzo uważnie na całym dystansie. Z podziwem, ale zarazem z mieszanymi uczuciami. Osobiście uważam, że można długo i w entuzjastycznym tonie opowiadać o heroicznym wysiłku najmłodszych biegaczy, o ich wspaniałej walce ze słabościami ciała i ducha, o walce z rywalami. Można jednak i trzeba zadać kilka pytań. Po pierwsze: jaki sens ma zmuszanie rozwijającego się intensywnie organizmu do tak ogromnego wysiłku, wysiłku trwającego wiele godzin? Po drugie: ile zdrowia daje taki bieg? Po trzecie: kto bierze na siebie odpowiedzialność za fizyczne i psychiczne urazy nastoletnich maratończyków?

Spotkałem na podwarszawskiej szosie kilka charakterystycznych par. Najczęściej był to dorosły mężczyzna, a obok niego mały jeszcze brzdąc. Po prostu – ojciec i syn. Obydwaj jednakowo dumni z siebie nawzajem. Dumę syna rozumiem, ojca niezupełnie. Czy aby nie za wcześnie i trochę za długo trwa ten ich wspólny, choć przyznać trzeba, efektowny, zwłaszcza na pierwszych kilometrach, bieg?

IV miejsce w II Maratonie Pokoju zajął Tadeusz Rutkowski. Nauczyciel wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 18 w Poznaniu z ogromną pasją i konsekwencją popularyzuje bieganie wśród swoich uczniów. Jednocześnie zaś ten 34-letni, a więc doświadczony już pedagog jest zdecydowanym przeciwnikiem udziału dzieci w maratonach, a nawet w biegach na znacznie krótszych dystansach. Jego zdaniem bieganie najmłodszych powinno być jeszcze w znacznym stopniu zabawą, a nie przerastającym możliwości organizmu wysiłkiem. Podobnie rzecz traktuje wielu innych nauczycieli, trenerów. Na maratońskie wyczyny kilkunastolatków, nie mówiąc o młodszych, z niepokojem patrzy także spora grupa lekarzy.

Miłośnicy lekkiej atletyki zwrócili zapewne uwagę na sprawę następującą. Otóż w wywiadach dla prasy, radia i telewizji rekordziści i mistrzowie długich dystansów dopiero po kilku latach startów stwierdzają, że „teraz spróbują się w maratonie". Mówią tak ludzie, którzy mają za sobą tysiące przebytych kilometrów, wspaniale wytrenowane organizmy i – co ważniejsze – zdają sobie sprawę z kłopotów, które spotyka się na najdłuższym z dystansów. Nie jest to więc jedynie utarty zwrot...

Olimpiada i maraton. Znaczenie tych słów zna każdy. Choć pochodzą z jakże odległej starożytności – dziś nabrały nowych barw. Czy można więc się dziwić, że każde z nich jest w stanie pobudzić młodocianą wyobraźnię? Moim zdaniem z nie zawsze pozytywnym skutkiem.

JAN JARUGA

Fot. **autora**

Opowiadanie Claudii Torres-Saenz, nagrodzone w konkursie literackim „Świata Młodych" Srebrną Ostrogą

Niedostępni

dokończenie z poprzedniego numeru

Nie był rozmowny, gdy wracaliśmy. Szedł parę metrów przed nami, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie chce z nami rozmawiać. Uszanowaliśmy jego nastrój i żadne z nas nie zbliżało się do niego. Byliśmy zresztą bardzo zmęczeni i zmarznięci, a ponadto głodni, więc nikt z nas nie próbował także myśleć o Uli. Chłopcy próbowali żartować, lecz nie bardzo im to wychodziło. Z westchnieniem ulgi przywitaliśmy dojście do przystanku.

– Chodźcie, pojedziemy taksówką do Śródmieścia, zaproponował Jacek kierując spojrzenie w stronę pobliskiego postoju, gdzie rzędem stały taksówki.

Poza mną i Zawadzkim wszyscy przyjęli propozycję z zachwytem. Byli bardzo zdziwieni, gdy odmówiłam, ale nie namawiali mnie długo.

– Mnie dwunastka dowiezie do samego domu – powiedziałam gwoli usprawiedliwienia. A ze Śródmieścia nie mam dobrego połączenia.

– Zobaczymy się jutro – powiedział Andrzej, odchodząc w stronę postoju.

Gdy taksówka odjechała, pozostaliśmy sami na przystanku. Przez chwilę żałowałam, iż nie pojechałam z resztą, bo czułam się nie najlepiej w towarzystwie tego naburmuszonego chłopaka, który nie zdradzał ochoty na rozmowę. Marznąc, czekałam na przyjazd tramwaju do chwili, gdy całkiem dla mnie niespodziewanie Zawadzki się odezwał.

– Mówili jej, żeby nie szła do „ogólniaka" zwłaszcza w Śródmieściu. Przestrzegali, że wasze środowisko nigdy nie uzna jej za „swoją", i nigdy jej nie zaakceptuje. A ja na odwrót – zachęcałem ją, bo żal mi jej było. Dokąd sięgam pamięcią Ula zawsze chciała się znaleźć wśród ludzi z podobnymi zainteresowaniami. Literatura, historia, sztuka – to był jej świat. I zawsze Ula była diablo zdolna – dodał jakby z dumą. Poszła więc do liceum i chyba jest nawet zadowolona, bo przez sześć godzin dziennie ma mniej lub bardziej godnych siebie partnerów... Tylko, że dzień ma tych godzin ponad dwadzieścia. Na te pozostałe Ula musi wracać do swoich pokojowych koleżanek, dla których zawsze była obca z tymi swoimi Mickiewiczami i Conradami, a teraz tym bardziej... Przychodziła do mnie jak tylko miałem trochę czasu, ale ja całymi popołudniami siedzę w szkole na zbiórkach drużyny, na próbach kabaretu, na kółku polonistycznym. Mam inną klasę, więcej szczęścia niż Ula... Zawsze miałem więcej szczęścia – dodał prawie szeptem.

Zawadzki zamyślił się, a ja schowałam głowę w kaptur płaszcza, choć nie było mi zimno. Wstydziłam się. Po chwili nadjechał tramwaj. Stanęliśmy na końcu, pomimo iż wszystkie miejsca były wolne. Tak jakoś, z przyzwyczajenia.

– Na początku rodzice zabierali nas oboje i byłem pewny, że Ula i ja zostaniemy w ich domu razem. Oni też byli o tym przekonani, bo właśnie toczyła się sprawa o pozbawienie praw rodzicielskich jej matki... Mama i tata byli pewni, że tamta kobieta przegra. Ula nawet zamieszkała z nami na pierwsze tygodnie. Było nam dobrze we czworo.

– A potem? – zagadnęłam, gdy Zawadzki zamilkł.

– Nic, któregoś dnia tata powiedział, że Ula będzie musiała wrócić do Domu Dziecka, przy czym obiecywał, że niebawem wróci. Ona wiedziała, że będzie inaczej. Nie zabrała z domu ani jednej nowej lalki. Płakałem, ale mama uspokoiła mnie. Potem się przyzwyczaiłem, a Ulę spotykałem w szkole. Potem przychodziła do mnie.

– Dlaczego z wami nie została?

– Dlaczego? Jej matka nie została pozbawiona praw rodzicielskich i nie zgodziła się na adopcję. Obiecała, że będzie Ulę odwiedzać i jak dotąd wywiązuje się z tego, przychodząc tam co najmniej raz w miesiącu. Inna rzecz, że Ula jej nienawidzi.

– Niczego nie rozumiem – powiedziałam żegnając się z nim.

– Słuchaj – krzyknął, gdy już wyskoczył z tramwaju. Jej tam wcale nie było, ale nie ma sensu jej szukać. Zostawcie ją.

* * *

Zawadzki jednak się pomylił, bo Ula pojechała do matki, skąd po paru dniach ta ją przywiozła na powrót do Domu Dziecka. Byliśmy bardzo zadowo

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Niedostępni

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

leni, gdy Krystyna powiedziała nam o tym, zwłaszcza, że dalsze poszukiwania nie dawały rezultatów i zaczynaliśmy się martwić na serio. Obiecałam sobie, że gdy wróci, dostanie ode mnie tęgiego szturchańca za udawanie. Ula nie wróciła jednak do naszej szkoły, nie wiemy dlaczego, ale po prostu nie chciała. W szkole zaczęto mówić, że popełniła samobójstwo, bo rzekomo znęcaliśmy się nad nią i wypominaliśmy wciąż, że nie ma rodziców. Mniej poinformowani nauczyciele też zaczęli się gubić i doszło do tego, że nazwano nas, „młodzieżą bananową".

Milczeliśmy uważając, że takie powinno być właściwe zakończenie sprawy. Cóż z tego, że inni mówili za nas? Gdziekolwiek się pojawiliśmy, natychmiast rozbrzmiewały rozmowy na temat ostatnich wydarzeń. Nie mogliśmy się już rozdzielać podczas przerw, bo autonomiczne grupki natychmiast były otaczane kołem „przyjaciół", którzy natychmiast chcieli się o wszystkim dowiedzieć. Zastanawiającą, a raczej ciekawą rzeczą jest to, iż żaden z nas się nie wyłamał, że nie było żadnych przecieków, chociaż żadnej oficjalnej czy też półoficjalnej umowy nie zawarliśmy. Instynkt samozachowawczy i stadny podpowiadały nam formę obrony i nikt z nas się jej nie sprzeciwiał.

Wkrótce też zaczęliśmy trzymać się fizycznie razem. Po prostu od któregoś tam dnia nikt nie mógł się doszukać jakiejkolwiek osoby z Ib na korytarzu, czy w szatni w pojedynkę. Cała szkoła próbowała od nas wyciągnąć wiadomości i to na różne sposoby, ale zawsze kończyło się to całkowitym fiaskiem. Nie mogli przełamać naszego milczenia. Myliłby się jednak ten, kto by myślał, iż sami się zmieniliśmy. Z uporem maniaka walczyliśmy o to, aby także i z naszego zachowania nic nie wynikało. Tak więc wariowaliśmy, uciekaliśmy z lekcji, łaziliśmy do kina, bawiliśmy się na prywatkach i choć razem rzeczywiście o wszystkim zapominaliśmy, to gdy nadchodziła noc i czas na nic – nie – robienie, wszystko wracało do nas z tym większą siłą.

Po dwóch tygodniach zapomnieliśmy o wszystkim, ale pozostaliśmy razem.

Jest cudownie. Słońce świeci z całą siłą, na jaką sobie może pozwolić, a przy tym wszystkim lekki północny wietrzyk daje ochłodę. Niektóre dziewczyny opalają się leżąc nieruchomo na suchej, żółtej trawie, lecz większość z nas bawi się w basenie. Przed chwilą ścigaliśmy się, lecz wyścig nie został rozstrzygnięty, gdyż Andrzej i Wanda równocześnie osiągnęli umowną metę. Wanda wyraźnie kpi z Andrzeja, który jeszcze przed wyścigiem założył się, że wygra. On jest teraz na siebie wściekły i wyraźnie dumny z Wandy. My zaś śmiejemy się z nich i z ich śmiesznej kłótni, gdyż jest klasową tajemnicą to, iż Andrzej i Wanda chodzą ze sobą od miesiąca. Zresztą oni wcale tego nie ukrywają, kłócąc się przy każdej okazji. Przygotowują się do wyścigu stając na słupkach. Alina śmiejąc się staje obok nich i chce krzyknąć „start", gdy nagle wrzuca Jacek ją do basenu. Andrzej zeskakuje ze słupka i podchodzi do Jacka z miną, która nie wróży niczego dobrego.

– Popatrzcie – Jacek wskazuje w stronę przebieralni.

Wszyscy odwracamy się. W naszym kierunku uśmiechnięta i pięknie opalona idzie Ula. Za nią podąża grupka młodych ludzi, wśród nich Zawadzki, do których ona coś mówi przyśpieszając krok. Gdy już stoi obok nas, nie możemy wykrztusić ani jednego słowa.

– Cześć – odzywa się pierwsza – chyba połowa szkół tu przyszła.

Rozpręża nas pogodny ton jej głosu. Witamy się z nią serdecznie, gratulujemy opalenizny, zauważamy, że przycięła włosy.

– Sama jesteś? – pyta Wanda.

– Nie, przyszliśmy tu całą drużyną, czyli połowa klasy... jak i wy – uśmiecha się wskazując na opalające się dziewczęta, które dopiero teraz ją zauważają. Natychmiast się podnoszą i podchodzą.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Ula opowiada trochę o nowej klasie w liceum Zawadzkiego. Jutro wyjeżdża na obóz harcerski, może zostanie tam na dwa turnusy. Rozmowę przerywa Zawadzki, który zniecierpliwiony, a może nawet zaniepokojony, woła Ulę z drugiego końca basenu. Żegnamy się.

Ula uśmiechnięta odchodzi do „swoich".

CLAUDIA TORRES-SAENZ

IV OGÓLNOPOLSKI HARCERSKI SPŁYW KAJAKOWY „BIEBRZĄ – NARWIĄ" (2)

Naturalnym nurtem rzeki...

Świta. Niemożliwie duszno. Idę ledwie widoczną ścieżyną przez bagna. Wysokie trzciny szumią jakby je ktoś przegarniał ogromną, niewidzialną dłonią. Dźwiękowi temu towarzyszy jeszcze jeden, natarczywy, melodyjny jęk komarów. – Gdzie one są? Zginę, kiedy rzucą się na mnie. Nagle z porannej mgły tuż przede mną wyłania się potężny kształt. „Aparat! Gdzie jest mój aparat?!" Jednak mam to szczęście zobaczyć z bliska króla bagien. Leśniczy z Rajgrodu mówił, że jest ich na torfowiskach około pięciu tysięcy sztuk. Wczoraj wieczorem, kiedy pełniłyśmy z Ulką wartę przy kajakach, mknął przez bagniste łąki, w stronę odległego lasu łoś. Widziałyśmy go obie; niestety, był od nas bardzo daleko. A teraz tu... „Gdzież ten aparat?" Zwierz jednak nie przejawia pokojowych zamiarów. Pochyla ogromny łeb, nad którym sterczą płaskie łopaty rogów. Groźne chrapnięcie. Uciekać! Nogi mam jak z ołowiu, nie mogę się ruszyć. Gardło ściska strach. Łoś atakuje! Czuję uderzenie w głowę. Wyciągam ręce, ale dłonie trafiają na coś zwiewnego, śliskiego. Ciągnę to coś! Haust świeżego powietrza. Otwieram oczy. Świta. O płótno namiotu szeleści deszcz. Podnoszę głowę, na którą się przewrócił postawiony obok poduszki mój żeglarski worek. Do tego worka przypięłam stilonową moskitierę, którą teraz trzymam w ręku. Łoś pozostał w krainie snów. Rzeczywistość stanowią komary i fakt, że trzeba wstawać. Warta za chwilę okrzyczy pobudkę. Do wiosłowania nikomu nie spieszno. Nawet Karolina wygląda spod koca jednym okiem. Wieczorne ognisko – mimo deszczu – przeciągnęło się do północy. Gośka, która zawsze wodzi rej w śpiewaniu, chrypi do mnie czy się wyspałam.

– Wstawać! Wstawać! Przejaśnia się!

Wyruszamy po śniadaniu. Na przedzie płynie pan Kazimierz Ojczyk, matematyk, opiekun z ramienia szkoły. „Karol Żelazna Ręka" z Bogusiem Mazurem – zamykają kajakowy „pochód". Ponieważ wiosłuję sama – trzymam się bliżej końca.

Jegrznia, nim wpadnie do prostego jak strzała Kanału Woznawiejskiego, kluczy zygzakiem. Zakrętów jest tyle, że kajak kajaka „nie widzi". Za to słychać uderzenia wioseł o wodę i rozmowy prowadzone dosłownie o kilka metrów, tuż za ścianą trzcin.

Kanał Woznawiejski ma odprowadzać nadmiar wód z bagiennych łąk. Obecnie woda z kanału przelewa się na łąki. Wiosłuję nie śpiesząc się, co pewien czas zatrzymuję kajak.

Trasa prowadzi wzdłuż utworzonego w 1925 roku rezerwatu łosi, zwanego Czerwone Bagna. Wówczas było tych zwierząt zaledwie osiemnaście sztuk. Podobno spotkać tu również można bobry. Świadczy o tym poobgryzane sitowie.

Czerwone Bagna zajmują obszar około dwóch tysięcy hektarów. Wzdłuż Kanału Woznawiejskiego, rzeczki Ełk aż do Biebrzy, ani śladu ludzkich zabudowań. Zupełna dzicz. Jest to chyba jedyne miejsce w Polsce, a może i w Europie, gdzie człowiek może przebywać sam na sam z przyrodą. I pomyśleć, że jeden z naukowców, docent Węgiełek, (jak nam mówiono na konferencji prasowej w Łomży) województwo łomżyńskie zaliczył pod względem walorów turystycznych do mało atrakcyjnych i umieścił je na... 47 miejscu w kraju! Bagna nadbiebrzańskie, różnie zwane na różnych odcinkach, zajmują obszar około 170 tysięcy hektarów. Oprócz łosi i bobrów, zamieszkują je lisy, dziki, borsuki, a z ptaków rzadko spotykanych – żurawie, czaple siwe, orły bieliki, cietrzewie i czarne bociany.

W trzech czwartych długości kanału stwierdzam, że na kciukach porobiły mi się od wiosłowania purchle. Słońce praży. Zanosi się na burzę. Chętnie zostałabym tu dłużej. Wprawdzie na brzeg tu nigdzie wyjść się nie da – takie bagno, bo torfowiska stanowią naturalną gąbkę, przetrzymującą wodę.

Od lat trwają naukowe badania w dolinie Biebrzy. Jedni uważają, że należy zmeliorować bagna, wykopać torf, bądź co bądź produkt energetyczny i rozpocząć uprawę tych terenów. Już nie pamiętam, który z rzeszowiaków opowiedział mi następującą przypowiastkę – widmo: „Za lat x przyjeżdżają turyści na nadbiebrzańskie torfowiska. Widzą ogrodzony teren, potężne kominy, na łąkach pracują gigantyczne koparki.

– Panie, a co to jest – pytają strażnika wycieczkowicze.

– A to nasz samowystarczalny szczyt techniki. Koparki wydobywają torf, taśmociąg dostarcza go elektrowni. Tam torf przetwarzany jest na energię elektryczną, którą napędzane są koparki..." Obieg energii się zamyka. Osuszenie bagien może przynieść niepowetowane straty i wyrządzić nieobliczalne szkody. Dlatego również od szeregu lat czynione są starania o objęcie ochroną torfowisk leżących w rejonie dolnej Biebrzy. Tereny te o obszarze 16000 ha miałyby statut Parku Narodowego i byłyby wciągnięte na listę obszarów chronionej biosfery. Obawiam się, że jeżeli podjęcie słusznych decyzji przeciągnie się o następne lata, łosie będziemy oglądać wyłącznie w ogrodach zoologicznych i w... snach.

•

Na rzece Ełk doganiam Karolinę i Bogusia. A ten tylko na to czeka.

– Och, popatrz, co ten „Karol" wyprawia z wiosłami! Prawym, „Karolku", prawym...

Karolina wiosłuje prawym, a Boguś w tym samym czasie macha lewym.

– No i sama widzisz – odwraca się do mnie. – Tak jest cały czas. A ja już nie mogę. O moja dolo, za co mnie los tak pokarał. Ona za chwilę znowu wiosła połamie. I będę musiał ciągnąć sam...

Skręcam się ze śmiechu. Śmieje się Karolina i odkłada wiosła. Z tego śmiechu czuję, że resztki sił mnie opuszczają, a do Goniądza co najmniej dziesięć kilometrów. Wszyscy są już daleko w przodzie.

Karolina musi wpłynąć do stanicy ze swoją drużyną. Ja mogę przywlec się później, bo jestem na przyczepkę. Kiedy wpływamy na Biebrzę, zostaję sama. Zrywa się przeciwny wiatr. Na rzece powstaje fala. Co pewien czas ponad trzcinami strzela w niebo usytuowany na wzgórzu jasny, przysadzisty kościółek w Goniądzu. Raz jest bliżej, raz dalej, to bardziej w prawo, to w lewo. Zupełnie jak przenoszona bardzo szybko z miejsca na miejsce zwodnicza makieta. Karolina z Bogusiem dawno zniknęli za kolejnym zakrętem. Może już docierają do stanicy... W jakimś momencie decyduję się na skrót. Kieruję kajak na zalane łąki – prosto na ten kościółek. Prądu tu nie ma, więc wysiłku trzeba więcej, ale ryzykuję. Wiem, że tuż przed stanicą powinien być most. Mija może pół godziny i widzę go. Tuż przed nim, przy brzegu, niebieskie kajaki. Czyżby czekali na mnie? Odkładam na moment wiosła i podnoszę ręce w górę, żeby mi odpoczęły. I wtedy gdzieś daleko, od tyłu, słyszę przerażony krzyk Bogusia:

– Jezus, a ta skąd się tu wzięła? Nie, ja tak nie mogę płynąć. To nie w porządku! Przecież została za nami...

Oni po prostu popłynęli naturalnym nurtem rzeki...

WIESŁAWA MROCZEK

Fot. **autorki**

W pogoni za cennym rogiem

SYMPATYCZNE NOSOROŻCE NA MUSZCE KŁUSOWNIKÓW

Nosorożce żyły w bardzo dawnych czasach na terenie Europy. Dziś są już tylko w Azji oraz Afryce i to w ilościach grożących wymarciem tego gatunku. W tej sytuacji w dawnych państwach kolonialnych, zaraz po uzyskaniu niepodległości, władze wprowadziły ostre przepisy ochrony tych kolosów.

Nosorożec, największy po słoniu ssak, dochodzi do 5 m długości i 2 m wysokości. Jest leniwym roślinożernym zwierzęciem. Niechętnie opuszcza podmokłe pastwiska. Często raczej ginie z głodu, niż decyduje się wyruszyć na poszukiwanie pożywienia. Najniebezpieczniejszym jednak wrogiem nosorożców jest... kłusownik. Zastąpił on dawnego myśliwego, głównie Europejczyka, który bezkarnie niemal polował niegdyś w afrykańskich koloniach.

Tubylcy zabijają nosorożce dla mięsa, kłusownicy – dla rogu. Trofeum to jest sprzedawane jako ozdoba salonów lub do warsztatów rzeźbiarskich na Dalekim Wschodzie. W Azji rogi nosorożców są również mielone na proszek, z którego wyrabiane są czarodziejskie, przywracające młodość „lekarstwa".

Władzom państw afrykańskich z trudem udaje się zachować przyrost naturalny tych zwierząt na stosunkowo stałym poziomie; kule kłusowników trzebią stada niemiłosiernie. W różnych rejonach Afryki grasują wyspecjalizowane bandy, polujące na nosorożce z bronią automatyczną. Grupy pośredników zajmują się potem przemytem łupów do handlarzy.

Na ratunek sympatycznym kolosom pospieszyły międzynarodowe organizacje ochrony zwierząt. Opracowano całą kampanię, która ma powstrzymać zbrodnicze trzebienie nosorożców. Rządy krajów afrykańskich wyznaczyły wysokie kary grożące kłusownikom, utworzono też specjalne uzbrojone brygady ochronne w parkach narodowych i na otwartych obszarach. Ponadto prowadzi się akcję uświadamiającą wśród miejscowej ludności, aby szanowała naturalne bogactwo swojego kraju. Akcja przynosi już pewne rezultaty, choć potężny róg nosorożca, dochodzący do 150 cm długości, jest ciągle poszukiwanym przez spekulantów towarem. (kż)

Fot. **archiwum**

W CIĄGU DZIESIĘCIU LAT ICH LICZBA SPADŁA O POŁOWĘ

Karibu zagrożone!

KANADA (PAP). Karibu są zagrożone zagładą – ostrzegają kanadyjscy obrońcy przyrody. Polowania na te piękne zwierzęta przybrały na intensywności. Obecnie w Kanadzie żyje ok. 100 tys. sztuk karibu – podczas gdy jeszcze w 1971 r. było ich 210 tys. Tylko w 1979 r. liczba przedstawicieli jednego zaledwie gatunku Beverly spadła o 20 proc. **(tok)**

Niedziela nad Wisłą

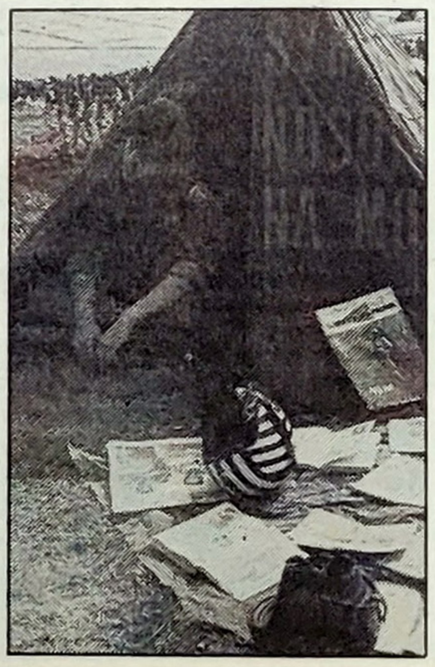

W ostatnią niedzielę lata harcerze opanowali skwer nad Wisłą u stóp Warszawskiej Starówki. Rozbite namioty, obozowe dekoracje i kolorowe plakaty, harcerskie przeboje płynące z głośników przyciągały wiele rodzin z najmłodszymi i starszymi pociechami. Ginęły jednak wśród mundurów harcerskich.

Bo festyn był prawdziwie harcerski. Zdobywało się tu nawet sprawności, można było nauczyć się nowej piosenki a także grać na werblach i fanfarach, wykazać się umiejętnościami i wiadomościami zdobytymi w swoich drużynach i na obozach. Nie zapomniano o zawodach sportowych, bajkach dla zuchów, konkurencjach rodzinnych, kanapkach i słodyczach dla głodnych, piciu dla spragnionych. Można było popływać żaglówką, jeździć na gokartach, zdobyć kartę rowerową, kupić na aukcji obraz albo różne drobiazgi w harcerskich butikach, przebrać się w strój nurka. Demonstrowano również dorobek letnich obozów, a wystawy fotograficzne mówiły, czym żyli i co robili harcerze ze stolicy.

Trudno było „zaliczyć" wszystko, ale każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Nic więc dziwnego, że nie można było się rozstać, a prawdziwe batalie zuchy i harcerze staczali o plakietki z napisem „Lubię festyn 80". Laur Komendanta Chorągwi za najlepszą organizację stoisk zdobył Hufiec Praga-Południe oraz drużyny 175 WDZ z Hufca Ochota oraz 133 WDH i 3 WD HSPS przy Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza – obie z Pragi Południe.

To była dobra impreza przede wszystkim dlatego, że festyn odbywał się w prawdziwie obozowo-harcerskiej atmosferze. Organizowała ją Stołeczna Chorągiew ZHP im. Bohaterów Warszawy a uczestniczyło w niej około 20 tys. harcerzy. **(ew)**

Fotografował JACEK ŁOPUSZYŃSKI

REDAKCYJNA POCZTA

Pragniemy nawiązać kontakt ze szkołami im. Gustawa Morcinka

Jesteśmy uczniami kl. VIIIa Zbiorczej Szkoły Gminnej w Gierałtowicach. W tym roku nasza szkoła otrzyma imię Gustawa Morcinka. Pisarz ten jest nam bardzo bliski. Aktualnie zbieramy wiadomości dotyczące tego wspaniałego człowieka, jednak źródła ogólnodostępne nie wystarczają nam. Pragniemy także dowiedzieć się, jak przebiegają akademie poświęcone Morcinkowi. Chcemy w związku z tym nawiązać kontakt ze szkołami noszącymi imię tego pisarza.

Uczniowie kl. VIIIa
Zbiorczej Szkoły Gminnej
w Gierałtowicach
ul. Powstańców Śląskich

Mam 15 lat. Interesuję się muzyką młodzieżową. Zbieram proporczyki, zdjęcia piosenkarzy i aktorów. Chciałabym nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami o podobnych zainteresowaniach. Bogusława Simkowska, ul. Rycerska 17, Zduńska Wola 98-220.

Nie ma „sezonowych" miłości

Nie zgadzam się z Robertem, który w liście „Wakacyjne przyjaźnie" (98 nr „ŚM") pisze, że wydaje się mu mało prawdopodobne, by znajomość z wakacji pozostała na dłużej.

Robercie, jesteś w błędzie. Czy wakacyjne dziewczyny i chłopcy są inni niż ci, których znasz powiedzmy z klasy czy osiedla? Bo ja uważam, że nie. A dziewczyna, którą poznałeś na wczasach i na której się zawiodłeś prawdopodobnie nie darzyła Cię takim uczuciem jakim Ty ją darzyłeś. Uważam, że nie ma żadnych sezonowych miłości czy przyjaźni. Bo czy można zakochać się w kimś na kilka dni czy miesiąc? Jeśli pokocha się kogoś na wakacjach to miłość ta przetrwa na pewno, zakładając, że chłopak i dziewczyna kochają się szczerze.

Moja wakacyjna miłość trwa już dwa lata. Kocham swojego chłopaka i nie wyobrażam sobie życia bez niego. Widujemy się, jak na te kilkaset kilometrów, które nas dzielą, dość często.

Ewa

Żeby nie wyrządzić nikomu krzywdy

Zakochał się we mnie pewien chłopiec. Nic w tym nie byłoby przykrego, gdyby mi się podobał. Ale tak nie jest. Chłopiec ten jest bardzo nieśmiały, ale pomimo to dosyć często do mnie przychodzi i stara się ze mną umówić. Ja wymiguję się jak mogę, ale wreszcie ulegam namowom i spotykam się z nim.

Oczywiście, mogłabym powiedzieć mu ostro, żeby się odczepił, ale wiem, że sprawiłabym mu wielką przykrość. Jak mam załatwić tę sprawę, żeby nie wyrządzić nikomu krzywdy?

Anka

OD REDAKCJI: Jeżeli nie masz ochoty spotykać się z chłopcem to nic prostszego, jak nie umawiać się z nim. Odmówisz raz, odmówisz drugi i wreszcie chłopak zrozumie, że nie ma szans. Ale z drugiej strony, wyczuwamy z Twego listu, że spotkania nie są wcale takie nudne. Może warto kontynuować tę znajomość? Piszesz ponadto, że jest nieśmiały. Spróbuj mu pomóc, wciągając go w swoje towarzystwo, stwarzając mu szansę na zwalczenie nieśmiałości. Krzywdy nu na pewno tym nie wyrządzisz. (mi)

ELŻBIETA STAROSTECKA

Nudno jest umierać w tiulach i koronkach

– Piękna, krucha, wrażliwa, najczęściej krzywdzona – jak czuje się pani w tej szufladce?

– Czułabym się fatalnie, gdybym rzeczywiście grała wyłącznie takie role. Nie jest na szczęście aż tak źle. Na przykład Solange w „Lecie w Nohant", nie jest jednoznacznie pozytywną postacią, podobnie dziwna, do końca nieodgadniona Wisnowska z „Czarnego romansu" według Władysława Terleckiego. Nie da się jednak ukryć, że szeroka publiczność kojarzy mnie przede wszystkim z „Trędowatą" i rolami telewizyjnymi, gdzie zwykle grywam w stylowych sztukach.

– Czy tak było zawsze?

– Nie. „Szufladka" to okres warszawski. Moje artystyczne życie rozpoczęło się w Łodzi, gdzie obsadzano mnie głównie w rolach charakterystycznch. W „Ślubach panieńskich" nie grałam lirycznej Anieli, tylko ekspansywną Klarę, w „Mężu i żonie" nie Elwirę, ale Justysię. Potem wystąpiłam w „Czarnych chmurach" i kiedy przeniosłam się do Warszawy ten serial zaczął właśnie dawać rezultaty...

– Chyba miło jest grać role wspaniałych, zdolnych do wyrzeczeń kobiet, z którymi chętnie identyfikuje się widownia, przynajmniej jej dziewczyńska połowa?

– ... a na końcu sztuki, czy filmu niezmiernie stylowo umierać w tiulach i koronkach. Przyznam, że już mnie to trochę znudziło.

– Ja pamiętam tylko cudowne Pani umieranie w „Trędowatej"

– Oj, było tego znacznie więcej. W „Manon Lescaut", „Nocach i dniach", „Maskaradzie", „Ondynie", „Czarnym romansie". Zresztą, nie skarżę się i za każdym razem staram się umierać najlepiej jak potrafię.

– Bardzo trudno było umówić się z Panią na rozmowę. Ostatnio jest pani w ciągłych rozjazdach: słyszałem o Berlinie, Pradze, Krakowie, Kudowie.

– Te podróże związane są z telewizyjnym serialem produkcji NRD pt. „Bohemia", który kręcimy w tych miejscowościach. Jest to saga rodziny żydowskiej, za tło której posłużyły narodziny i wybuch faszyzmu. Trudno przewidzieć, jaki będzie efekt końcowy, ale scenariusz wydał mi się bardzo interesujący.

– Kim jest Pani bohaterka?

– Na imię ma Estera. Wokół niej grupują się wszystkie wątki filmu. Jej życie było jednym pasmem trosk. Po śmierci matki stanęła na czele rodu. Próbowała nim kierować najlepiej jak potrafiła, ale zupełnie nie rozumiała czasów w których przyszło jej żyć. Kiedy faszyzm ostatecznie doszedł do głosu, wszystko się rozpierzchło. Uciekli ludzie z jej otoczenia, ona jedna została, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Do końca nie mogła zrozumieć obłędnych idei totalnego zniszczenia.

– Jak Pani trafiła do tego filmu?

– W NRD jest w ogóle mało aktorów. Reżyser Horst Seeman, przyjechał specjalnie do Polski, żeby uzupełnić obsadę. Zaangażował m.in. Kalinę Jędrusik, Igę Cembrzyńską, Leona Niemczyka, Jerzego Bończaka, a także aktorów czeskich, no i oczywiście niemieckich. Mnie zobaczył w „Lecie w Nohant" w Teatrze Rozmaitości i zaproponował rolę Estery. Musiałam przejść próby charakteryzacji, bo film zaczyna się kiedy bohaterka ma 17 lat, a kończy tragiczną śmiercią sześćdziesięcioletniej kobiety.

– Rozpiętość wiekowa spora, ale i niemała szansa aktorskiego sprawdzianu...

– No właśnie. Szalenie ważna i bardzo pomocna jest dla mnie w tym filmie charakteryzacja. Oczywiście bardzo umiejętnie się ją stopniuje. Na początku mam makijaż bardzo delikatny, nastoletni, prawie bez malowania. Lata dojrzałości bohaterki zbiegają się z modą na Gretę Garbo, więc „noszę" makijaż i fryzurę z epoki. Bardzo ostra charakteryzacja w ostatnich scenach czyni ze mnie kobietę 60-letnią. Mam wtedy głębokie cienie pod oczami, pomarszczoną, przy pomocy specjalnego płynu, skórę na twarzy i szyi. Do tego dochodzą przypudrowane rzęsy, blade usta. Portretu dopełnia siwa peruka, śmieszny kapelusik, ciemny strój. To niezmiernie pomaga „poczuć się" staro psychicznie. I co charakterystyczne, takie pełne przeobrażenie ma w moim przypadku jakby przedłużone działanie. Jeszcze długo po rozcharakteryzowaniu i zdjęciu kostiumu czułam się stara, zmęczona, przegrana...

– Film, czy teatr? – pytanie niezłomne.

– Telewizja. Lubię pracować ostro niezbyt długo. Nie lubię też zbyt długo sprzedawać finalnego efektu, jak to ma miejsce w teatrze. Sporo w tym mojej winy, bo chociaż jestem dostatecznie długo w tym zawodzie, nie nauczyłam się grać technicznie. Za bardzo się angażuję psychicznie, nawet na próbach. Na scenie ciągle jestem na pełnych obrotach i dlatego drogo kosztuje mnie przełamywanie się, żeby wielokrotnie odnajdywać w sobie te same stany emocjonalne. Tak więc telewizja. Także i dlatego, że ma szansę zebrania optymalnej obsady, a nade wszystko, że gra się ten jeden raz.

– Życzymy więc Pani wielu interesujących, różnorodnych ról w TV i teatrze Ateneum, z którym związała się Pani w nowym sezonie.

ZOFIA DOKTOROWICZ

Fot. L. Myszkowski

Sweter z podmuchem folkloru...

Donoszę niniejszym, że wszelkie nutki folklorystyczne znowu się pojawiły na tapecie ciuchowej mody. Z folklorem, jego elementami jest tak, że zawsze wdzięku strojowi dodają, ale w różnych okresach czasu jest to bardziej lub mniej awangardowy styl. Kilka lat temu wszystko, co z folklorem związane, było uznawane za super-przebój, potem zszedł ten folklor nieco na margines, już nie taki przebojowy był, a teraz znowu się na siłę wdziera. Ja myślę, że to dobrze, bo rzecz jest obiektywnie ładna i ma w sobie masę wdzięku. Warto więc z tej tendencji skorzystać.

Oczywiście jeśli ktoś lubi. Są dziewczyny, które preferują bardzo sportowy styl ubierania się, ale jeśli któraś jest zwolenniczką rzeczy romantycznych bardziej w charakterze, to jest to fajna okazja do skorzystania. Mówimy o folklorze, chociaż z prawdziwym ludowym folklorem jakiegoś konkretnego regionu nie ma to wszystko wiele wspólnego. Jest to raczej styl pseudoludowy, stylizowany na jakiś bliżej nieokreślony folklor. Po pierwsze – różne rzeczy w kwiaty wchodzę tu w grę (i sukienki, i spódnice, i bluzki), ale i duże kolorowe bardzo kraty też; po drugie – falbanki, koronki i inne tego typu ozdobniczki. Te falbanki, marszczenia i wiązania różne, zabawne dotyczą przede wszystkim bluzek, ale również i całych sukienek, a także spódnic. Poza tym styl dopuszcza łączenie rzeczy ludowo-folklorystycznych z bardzo sportowymi. Np. taka cała radosna bluzka założona do całkiem zwyczajnych dżinsów. Jeśli jednak bluzkę łączy się ze spódnicą, to powinna to być już spódnica mieszcząca się w stylu – szeroka i marszczona w kwiaty lub jakąś kratę, może być jednobarwna (lub kwiecista) solejka, czyli plisowany klosz, coś sztruksowego czy aksamitnego, ale też marszczone i szerokie, a nie np. stębnowana elana czy jakaś inna spódnica prosta lub w fałdy, ale w kroju bardzo prosta i sportowa.

W stylu folklorystycznym mogą być również swetry. Nieco bardziej od

DOM MODY świata młodych

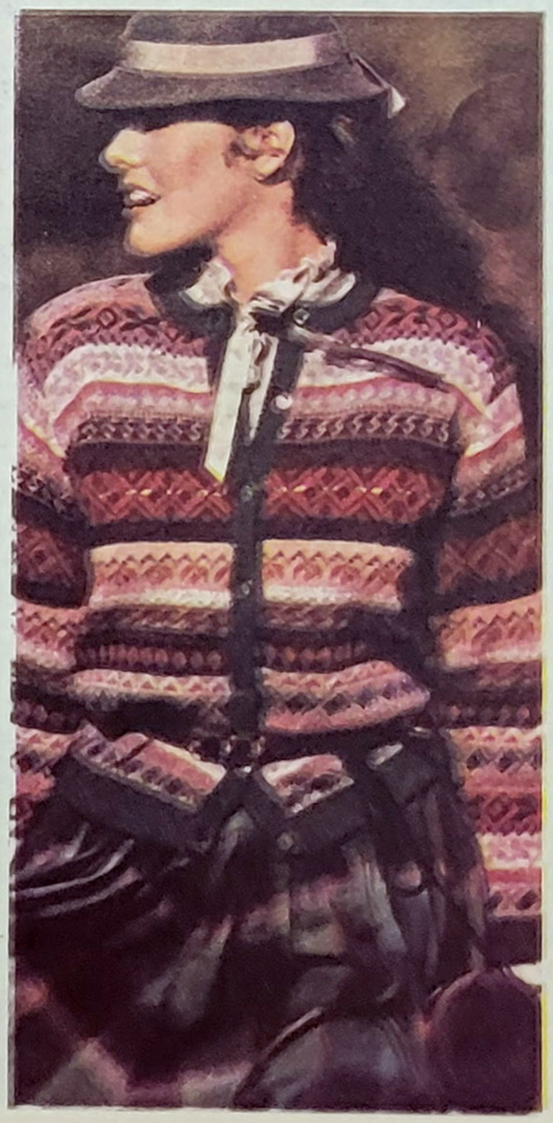

zwyczajnych romantyczne w fasonie (jakaś baskinka czy wiązadełko na pomponiki pod szyją, dodziergana szydełkiem falbanka itp.), albo bardzo wzorzysto-kwieciste (na zdjęciu dziewczyna w kapeluszu taki właśnie prezentuje, cudny jest, ale szalenie pracochłonny w robocie), albo wykonane z białej włóczki i ozdobione jaskrawą lamówką (zieloną, czerwoną, zdecydowanie żółtą, szafirową) oraz rzuconymi na całe tło swetra lub tylko np. na karczek czy tylko na sam przód jakimiś kwiatkami w tym samych co lamówka kolorach. Lamówkę i kwiaty wykonuje się już po zrobieniu swetra przy pomocy szydełka lub grubej igły. Można zresztą odwrócić wartość kolorystyczną – na ciemnym tle (czerwonym, zielonym, czarnym, granatowym itp.) rzucić jaskrawe i zdecydowanie jaśniejsze kwiatki. Ta druga wersja, choć może nieco mniej stylowa, jest znacznie praktyczniejsza – no, bo biały sweterek trzeba bez przerwy niemal prać, a komu by się chciało. Mnie się np. nie chce i robię sobie czarny sweter w czerwono-biało-zielone kwiatki. Już jest prawie gotowy, bo zrezygnowałam z ozdobnego ściegu i dziergam go całkiem na gładko wychodząc z założenia, że spora ilość kwiatów (igłą je będę robiła, metodą sterczących na wierzch supełków) dostatecznie go upstrzy, żebym się miała na jakiś super-skomplikowany ścieg wysilać. Lamówka dookoła będzie czerwona i czerwone będą też guziczki. Włóczki czarnej niestety nie dostałam, ale dałam do ufarbowania na czarno taką buro-niebieską anilanę, a na kwiatki i lamówki wygrzebałam różne resztki. Pomysł sprzedaję za dobre słowo.

RIUSZKA

O jabłkach można nieskończenie...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

rozmnażanie rośliny nazywa się **wegetatywnym**, w odróżnieniu od **generatywnego**, w którym wszystkie cechy przekazywane są wyłącznie przy pomocy nasion.

Jak już wiadomo siewki uzyskane z nasion dają najczęściej – jak się to mówi – marny choć różnorodny materiał. Jednak czasami zdarza się, iż ni stąd ni zowąd, nagle z siewki wyrośnie wspaniała odmiana. Dlatego właśnie w zakładach doświadczalnych stosuje się dziś coraz bardziej wyrafinowane metody selekcji sięgając już nawet do działań z zakresu inżynierii genetycznej.

CZARODZIEJE SADÓW

Dawniejsi wielcy sadownicy-hodowcy wysiewali po prostu ogromne ilości nasion jabłoni i nie czekając aż siewki zaowocują, przesadzali do swych sadów najlepsze egzemplarze, te co do których byli pewni, że dadzą dobre owoce. Skąd wiedzieli, które należy wybrać, a które odrzucić? Dysponowali po prostu nieprawdopodobnym doświadczeniem i intuicją. Taki był słynny radziecki sadownik **Iwan Miczurin**, który stworzył odmiany jabłoni porastających dziś setki tysięcy hektarów w ZSRR. Podobnie było z amerykańskim hodowcą **Lutherem Burbankiem**. Opowiadają o nim, że raz zaproponował przyjacielowi, aby ten wybrał 10 najlepszych – jego zdaniem – siewek z tych odrzuconych, sam dodał do tego 10 wybranych wcześniej przez siebie i posadził obok. Po latach okazało się, że jego wybór był bezbłędny! Siewki przyjaciela dały same dziczki, wybrane przez Burbanka – znakomite jabłonie.

My mamy również swoich „czarodziejów sadów". Najznakomitszym z nich jest **prof. Szczepan Pieniążek** pełniący od lat funkcję dyrektora Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Przy Jego współudziale powstało wiele nowych odmian jabłoni i innych drzew owocowych. Profesor jest jednym z tych ludzi, dzięki którym możemy spożywać już ponad 50 kg owoców na jednego mieszkańca rocznie, ale to naszych pomologów – specjalistów od drzew i krzewów owocowych – nie zadowala. Sam profesor uważa zresztą, że roczne spożycie powinno osiągać przynajmniej 76 kg – i to by było dopiero to! W jaki sposób można do tego dojść opowiemy przy najbliższej sposobności.

Bo o jabłkach można nieskończenie...

JERZY DĄBROWSKI

Czy kobieta znosi loty kosmiczne tak samo jak mężczyzna?

Loty kosmiczne przebiegające bez awarii statku, nie są związane z dużym wysiłkiem fizycznym. Praca w nich ma charakter pracy lekkiej, obciążającej jednak w dużym stopniu układ nerwowy i psychikę. Biorąc więc pod uwagę fizyczne możliwości kobiet do znoszenia lotów kosmicznych są one więcej niż zadowalające. Na potwierdzenie powyższego można przytoczyć liczne przykłady lotnictwa, gdzie kobiety są równorzędnymi partnerami mężczyzn. Poszczególne czynniki lotu są przez nie równie dobrze znoszone, jak przez mężczyzn, wliczając w to niedotlenienie, przyśpieszenie, wibrację, hałas, zmiany temperatur, które uważa się za najbardziej obciążające. Podobnie kobiety znoszą warunki psychiczne. Są one zdolne, nawet lepiej od mężczyzn, znieść odosobnienie. Wydaje się, że dużą rolę odgrywa tu motywacja, na której działanie kobiety są bardziej wrażliwe. Wytworzenie odpowiedniego poczucia potrzeby dokonania lotu kosmicznego, mniemania, że w ten sposób spełnia się niezwykle ważną misję, mającą znaczenie dla całej ludzkości, pozwala znacznie lepiej znieść warunki lotu. W dziedzinie wytwarzania motywacji kobiety są znacznie podatniejsze. Przyjmując słuszność motywacji jakiegoś działania, dążą one do zrealizowania powierzonego zadania za wszelką cenę.

Reakcja na inne czynniki zmniejsza się znacznie, czyli podnosi się ogólny potencjał możliwości adaptacyjnych do nowego środowiska i kompensacyjnych przy nagłym zadziałaniu ujemnego czynnika. Jest to główną przyczyną, dla której kobiety potrafią znacznie lepiej znieść warunki lotu kosmicznego niż mężczyźni. W trakcie eksperymentów kobiety uzyskały o 18 proc. lepsze wyniki niż płeć przeciwna w modulowanych warunkach lotu kosmicznego.

A więc dziewczyny, głowy do góry! My również mamy szansę na podbój wszechświata!!!

Małgorzata Czajez
ul. Prądzyńskiego 29/2
50-433 Wrocław

Na zdjęciu obok przedstawiamy radziecko-kubańską załogę – Jurija Romanienkę i Arnaldo Tamajo Mendeza, którzy odbyli wspólny lot orbitalny w dn. 18–26 września br. Była to siódma międzynarodowa załoga, która przeprowadziła badania w ramach programu „Interkosmos". Wzorem poprzednich ekip, również i ta ostatnia połączyła się z zespołem orbitalnym „Salut-6" – „Sojuz-37", który to zespół pilotuje od 165 dni załoga L. Popow i W. Riumin. Wśród całej serii badań, które przeprowadziła radziecko-kubańska załoga na uwagę zasługuje eksperyment biologiczny „atuel". Ma on na celu ustalenie wpływu środowiska kosmicznego na podział komórek drożdży. Zdaniem specjalistów wyniki tych prac mogą znaleźć praktyczne zastosowanie np. w produkcji pasz. Ponadto, załoga wykonała jeszcze 19 innych eksperymentów zarówno biologiczno-medycznych, jak i technologiczno-technicznych.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

ZAGADKI PULSARÓW

Chciałbym poruszyć zagadnienie związane z pulsarami, tymi bardzo ciekawymi i zajmującymi obiektami we wszechświecie. Pulsary są to obiekty astronomiczne wysyłające promieniowanie w przestrzeń w postaci krótko trwających sygnałów, powtarzających się cyklicznie w okresie 1 sekundy i krótszym. Odkrycia pierwszego pulsara dokonano na podstawie obserwacji radioastronomicznej. Odkrycia dokonała studentka Uniwersytetu w Cambridge (Wielka Brytania) Jacelin Bell, podopieczna późniejszego laureata Nagrody Nobla Anthona Hawisha w roku 1968. Pulsar ten wysyłał niezwykle regularne impulsy trwające 0,1 s i powtarzające się w precyzyjnie równym odstępie 1,33 sekundy. Dalsze badania w tymże roku doprowadziły do odkrycia jeszcze czterech pulsarów o okresach od 0,3 do 1,3 sekundy. Następne dwa lata pozwoliły na odkrycie wielu nowych pulsarów, ale co najważniejsze, odkryto takie, które rzucają wiele światła na samą naturę tego zjawiska.

Najkrótszy okres bo tylko 0,033 s ma pulsar NP 0532, odkryty w samym centrum mgławicy Kraba, która powstała w wyniku wybuchu supernowej około 1054 roku n.e. Najdłuższy znany obecnie okres wynosi 3,7 s lecz najczęściej obserwowane pulsary mają okres zawarty w przedziale od 0,5 do 1,5 sekundy. Każdy pulsar charakteryzuje się nieco odmiennym kształtem impulsu. Poszczególne impulsy jednak nie są wcale takie stałe i niezmienne, mogą trwać krócej niż uśredniony impuls, mogą pojawiać się nieco wcześniej lub później – wreszcie niektórych impulsów może w ogóle brakować. Mimo jednak tak znacznej nieregularności poszczególnych impulsów ich uśrednione własności są zaskakująco stałe.

Jedną z ciekawych właściwości pulsarów jest to, że wszystkie najwyraźniej zwalniają swe obroty, a tempo, w jakim to zwalnianie następuje informuje nas jak długo mogą trwać pulsary. Dlatego okresy pulsarów nie są precyzyjnie stałe, lecz zawsze ulegają powolnemu wydłużeniu. Średnia wartość opóźnienia wynosi 0,3 ns (nanosekundy: 1 ns = 10^{-9}s). Wiek większości pulsarów liczy więc dziesiątki lub setki milionów lat.

Pulsary identyfikuje się obecnie z gwiazdami neutronowymi. Są to gwiazdy o bardzo dużych gęstościach, w których wnętrzu na skutek oddziaływań między protonami i elektronami doszło do przekształcania się ich w neutrony; a przy gęstościach rzędu 10^{17} g/cm³ do utworzenia się hiperionów. Teoretyczne modele gwiazd neutronowych przewidują, że ich promienie mogą zawierać się w granicach od 10 do 100 km, a masy nie mogą przekraczać około 2 mas Słońca z powodu dużej gęstości tych gwiazd. Pulsary mogą stanowić prawdopodobnie ostatni etap ewolucji gwiazd o masie 2,5 do 8 mas Słońca. Jeżeli pulsar jest gwiazdą neutronową musi on być bardzo mały i bardzo masywny, inaczej siły odśrodkowe pojawiające się przy jego rotacji w tempie kilkudziesięciu obrotów na sekundę rozerwałyby go na drobne części. Gęstość pulsara przypuszczalnie powinna sięgać 10^{16} g/cm³. Wielkości te są trudne do wyobrażenia, i aby je przedstawić, należałoby ładunek ważący przeszło 10 milionów ton pomieścić w jednym milimetrze sześciennym!

Jednakże na ogromnych gęstościach nie kończą się osobliwe właściwości pulsarów. Impulsowe promieniowanie radiowe informuje nas o istnieniu wokół pulsarów bardzo silnego pola magnetycznego. Pole magnetyczne pulsarów mają natężenie 10^{12} razy większe w porównaniu z polem magnetycznym Ziemi i są najpotężniejszymi siłami magnetycznymi istniejącymi w przyrodzie. Przypuszcza się, że pulsary mogą wysyłać promieniowanie radiowe jedynie w wąskim stożku wyznaczonym przez zbieżności pola magnetycznego w okolicach biegunów magnetycznych. W ten sposób pulsar niby latarnia morska wysyła swe promieniowanie w przestrzeń wokół siebie w dwóch wąskich pasach skierowanych zgodnie z ustawieniem biegunów magnetycznych względem osi obrotu. Niestety zjawisko emisji krótkotrwałych impulsów nie jest jeszcze znane.

Nowa dziedzina astrofizyki dotycząca pulsarów szybko się rozwija. Może za kilkanaście następnych lat, dzięki skoncentrowanemu wysiłkowi wielu naukowców pulsary zostaną dokładnie poznane i dostarczą następnych, również niezwykłych odkryć? Wszakże wszechświat kryje przed nami jeszcze wiele różnych tajemnic.

Jerzy Kruppa
ul. Wolności 156
41-800 Zabrze

Korzystałem z następujących źródeł: „Pulsary" – Dr.hab. Sławomir Ruciński nr 11 1978 „Młody Technik" oraz „Encyklopedia powszechna".

AUTO-ROVER

Misja „Vikingów" była przełomem w dotychczasowych badaniach Marsa, lecz nie przyniosła odpowiedzi na wiele pytań postawionych przez naukę. Konieczne jest więc kontynuowanie badań Czerwonej Planety przy użyciu doskonalszych próbników.

Sztuczne satelity Marsa muszą być zdolne do przyjmowania próbek gruntu, przechowywanie ich i powrotu z tym cennym materiałem na Ziemię.

Sprawą rozstrzygniętą jest możliwość ruchu lądownika. Ma to kolosalne znaczenie dla pobierania zróżnicowanego materiału, potrzebne do badań chemicznych, biologicznych.

W Kalifornijskim Laboratorium Napędów Odrzutowych w Pasadenie opracowano prototyp automatycznego pojazdu tzw. „Auto-Roveru" o masie 160 kg. Ten przyszły lądownik zabierałby mało skomplikowaną aparaturę odporną na trudne warunki panujące na Marsie oraz przyrządy do pobierania próbek. Marsjański łazik miałby możliwość do przejechania na Czerwonym Globie około 100 km. Dzienna trasa przewidziana jest na około 2 km.

„Auto-Rover" na powierzchnię Marsa dostarczyłaby platforma pozbawiona aparatury badawczej, służąca jedynie do transportu.

Podczas swej pracy lądownik musi omijać przeszkody, rozpoznawać wartościowe obiekty badawcze, przeprowadzać ich obserwację i pomiary. Praca „Auto-Roveru" ma odbywać się bez oczekiwania na decyzje wydawane z ośrodków badawczych znajdujących się na Ziemi.

Jarosław Galiński
ul. Rozstajna 1
20-347 Lublin

Pociągnęła nosem. Łyknęła fasolówki i przewróciła stronę gazety „Głos Wielkopolski" sprzed dwóch dni. Kto wie, może znajdzie jakiś anons o doskonale płatnej a niefatygującej pracy.

Przeważały kuszące oferty dla pomocy domowych. Ale z tego rodzaju zajęcie dla dumnej Idy było czymś nie do pomyślenia. Miała trudności ze sprzątnięciem po sobie samej, głupawe zajęcia gospodarskie srodze ją upokarzały. Cóż więc mówić o takiej pracy wykonywanej dla kogoś obcego! Udzielanie korepetycji z matematyki – co sugerowało kolejne ogłoszenie – również Idzie nie odpowiadało; to raczej jej samej takowe by się przydały.

– Pilnie potrzebna pani towarzysząca starszej osobie – przeczytała z kolei i gwałtownie przełknęła makaron. – O, sekundę! To by chyba było niezłe. Paszkiet, Krasińskiego 10 a m 1. Ha! Nie do wiary!

Ulica Krasińskiego była jedną z przecznic Roosevelta, arterii przy której stała kamienica Idy. Od swojego domu do narożnika Krasińskiego Ida miała najwyżej dwadzieścia metrów.

Wyglądało to na prawdziwe zrządzenie losu.

Na dworze było jakoś dziwnie. Deszcz co prawda nie padał, ale nie pozwalał o sobie zapominać; ciężkie chmury posępnie zwisały nad dachami – coraz niżej, wilgotne powietrze, pachnące mgłą i dymem, przesycała niezwykła srebrzysta poświata, w której wszystko zdawało się tracić naturalne barwy. Z wolna robiło się coraz ciemniej, choć minęła zaledwie godzina czwarta.

Wąską i szarą ulicę Krasińskiego spowijał latergiczny bezruch. Ani jednego przechodnia, dziecka z rowerkiem, samochodu czy choćby bezpańskiego kota. W przykurzonych ogródkach nie drgnęła nawet gałązka, nie zaćwierkał wróbel. Dwa rzędy pojedynczych staroświeckich domków z wieżyczkami, pięterkami i balkonami z kutego żelaza – wszystko to tonęło w srebrzystej zamglonej szarości.

Ida szła gładką jezdnią jak we śnie, rozglądając się na boki w poszukiwaniu domu numer dziesięć. Znalazła go wreszcie blisko skrzyżowania z ulicą Mickiewicza. Budynek ten był dziwaczny, nieregularny, z oknami o łukowatych szczytach, wieżyczką i kilkoma wejściami. Zdeptany trawnik z dwoma niewysokimi starymi drzewami otaczał dom oddzielając go od rozkopanej ulicy. Na chodniku piętrzyły się jakieś rury, zwały ziemi, paliki, tablice ostrzegawcze i grube kable. Ale cały wykop sprawiał wrażenie obiektu z dawna opuszczonego i nie tkniętego od miesięcy ludzką ręką.

Z przeciągłym skowytem wypadł skądeś niesamowicie kudłaty kundel o cienkich długich nóżkach. Zakręcił się w kółko, usiadł, podniósł pysk ku niebu i zawył – upiornie a przejmująco.

Ida poczuła na plecach nagły lodowaty dreszcz.
Zawahała się.

Dom numer dziesięć wyglądał zdecydowanie odstraszająco. Na pierwszym piętrze ktoś zapalił światło – okno, osłonięte purpurową kotarą, rzuciło w mgliste powietrze pasmo krwawego blasku. Ida mimo woli wyobraziła sobie, że ktoś tam właśnie dusi kogoś poduszką, zadrżała i pomyślała, że lepiej sobie pójdzie do domu.

Byłaby to z pewnością uczyniła, gdyby nie zaburczało jej w żołądku.
Przecież wciąż była nieludzko głodna.
„No nie, nie przesadzajmy – pomyślała sobie. – Dom jak dom, nawet całkiem miły i po staroświecku przytulny..."
Pies znów zawył jak upiór, ale Ida postanowiła go zignorować.

Nie namyślając się dłużej – żeby się przypadkiem nie rozmyślić – przebyła kładkę nad wykopem, przeszła kilka kroków po półkolistej ścieżce i dotarła do wejścia z numerem 10a.

Wąskie schodki o skrzypiących stopniach prowadziły na wysoki parter. Spory drewniany podest poprzedzał szerokie dwuskrzydłowe drzwi, osadzone w rzeźbionej futrynie. Pachniało tu pastą do podłogi i kawą, a także jakimś rosołkiem. Ida odruchowo przełknęła ślinę i w tym momencie struchlała, bo zza drzwi mieszkania numer jeden dał się słyszeć okropny krzyk!

– Nie! Nie! Zostawcie mnie! Zostawcie!
Huknęły rozgłośnie jakieś drzwi wstrząsając drewnianą podłogą parteru. Gdzieś bliżej stłumiony bas oznajmił grobowym tonem:
– Znów się ten głupek zamknął od środka.

Cdn.

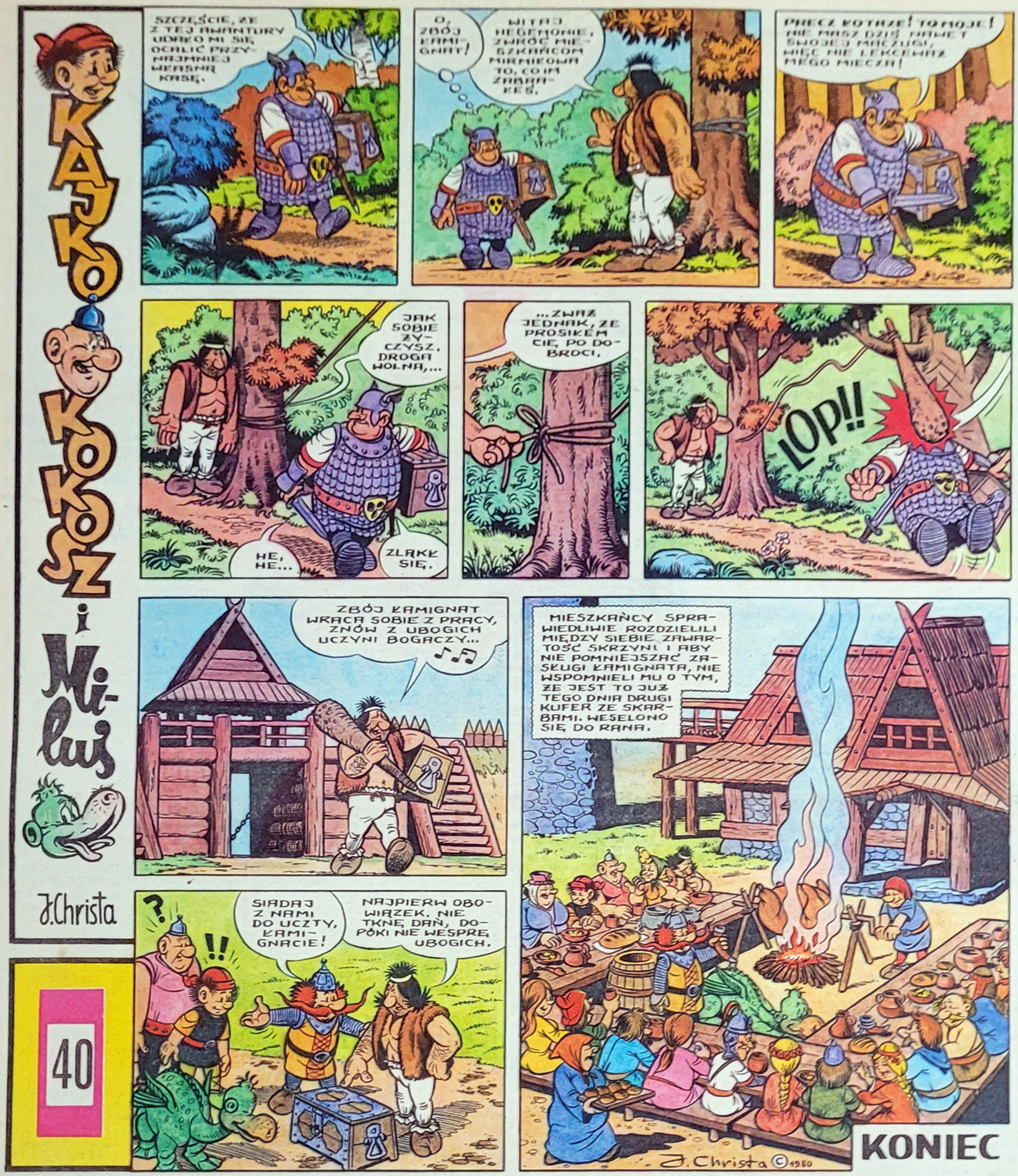

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031566

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW "Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 6310/G

O-79

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- „Za co ten puchar? – „Niełatwo jest ocenić obiektywnie samego siebie – mówią druhny ze Szczepu HSPS przy Zespole Szkół Medycznych w Kaliszu – więc może po prostu opowiemy o tym, co w ogóle robimy..."
- „Siup! w ten głupi dziób" – opowiadanie wyróżnione w konkursie literackim Złota Ostroga'80
- Dla entuzjastów sportu samochodowego – wszystko o wyścigach samochodów tzw. Formuły I – „Demony szybkości"

Małgorzata Musierowicz

IDA SIERPNIOWA

3

Teraz jednak mama mokła w zimnym namiocie na odległym o dwieście kilometrów od Poznania pustym polu namiotowym i nie było nikogo, kto by Idę przytulił i powiedział jej, że zażycie pięciu tabletek aspiryny może być szkodliwe. Zmarznięta i pogrążona w fatalnym nastroju Ida tkwiła w swym prochowcu nad kuchennym stołem i już chciała łyknąć tę końską dawkę leku, gdy nagle olśniła ją myśl, że złe samopoczucie niekoniecznie musi być spowodowane początkami pneumonii. Być może przyczyną był zwykły głód. Odłożyła paczkę z aspiryną i zdjęła płaszcz. Potem zaś raz jeszcze zaczęła przeszukiwać kuchenne szafki, by sprawdzić, czy nie znajdzie się tam jednak czegoś do jedzenia.

Było w czym szukać. Mieszkanie Borejków położone na parterze starej kamienicy, w śródmieściu Poznania, składało się z trzech różnej wielkości pokojów, obszernej kuchni i takiejż łazienki. Kuchnia była wysoka, ciemnawa, zaopatrzona w liczne szafy ścienne, zabudowy, zakamarki, skrytki i załomki. W przyległym pomieszczeniu urządzono spiżarnię. Na szerokich półkach stały tam słoje wecka i twisty, w których mama Borejko zapasteryzowała już lub zamarynowała na zimę plony tegorocznego lata.

Ida zapaliła światło pod wysokim sufitem kuchni i zajrzała do spiżarni, pasąc oczy pełną gamą barw, migocących w słoikach. Zielony szpinak, niebieska kapusta, porzeczki czarne i czerwone, żółte czereśnie i takaż fasolka szparagowa. Można by pomyśleć, że w tym domu nikt nigdy nie będzie głodny.

A jednak Ida głodowała – i to już od czterech dni – i nie śmiała sięgnąć po zimowe zapasy. Zaprawy były świętym tabu dla czterech sióstr Borejko i ich ojca – łasucha. Mama zabraniała im z całą mocą naruszania żelaznych zapasów witamin, dopóki nie nastały zimowe chłody.

Teraz wzdychając nad swoją słabością, Ida wzięła w dłoń słoik z konfiturą truskawkową, potrzymała go przez chwilę, polizała przykrywkę – i wreszcie, zwalczywszy pokusę, odstawiła z powrotem na półkę. Wyszła ze spiżarni krokiem bohaterki i raz jeszcze rzuciła się do kuchennych szafek.

W kredensie, w jakimś zapomnianym kącie, znalazła wreszcie celofanową torebkę z resztką makaronu kolanka i paczkę zupy fasolowej w proszku. Z tych dwóch składników ugotowała paskudną szarą breję i wylała ją na talerz. Usiadła na jednej z dwu ław przy szerokim, drewnianym stole, który, zwykle oblepiony licznymi członkami rodziny, teraz wydawał się zupełnie innym meblem. Zresztą, całe mieszkanie wydawało się teraz, zupełnie innym mieszkaniem – puste pokoje, nieruchome firanki, błyszczące podłogi, gładko posłane łóżka oraz ułożone starannie książki, kiecki i zabawki – były w domu Borejków czymś zupełnie niezwykłym. Niezwykła była też cisza. Niedawno trwał tu bezustanny ruch i gwar, przychodzili liczni goście do wszystkich członków rodziny, dzwonił telefon, gwizdał czajnik w którym bez ustanku ktoś gotował wodę na herbatę; w jednym pokoju ryczał tranzystor Nutrii, w drugim dudnił telewizor, a w trzecim koledzy Gabrysi prowadzili głośne dyskusje.

– A do mnie nikt nie dzwoni, nikt mnie nie odwiedza – nikt się nie interesuje nawet moim zdrowiem – powiedziała Ida, a głos jej odbił się echem od ścian przestronnej kuchni. – Ale to nic, to nic. Ja się nie będę nad sobą użalać.

Łyknęła zupy fasolowej. Brr.

Gdyby tu teraz umarła, ciało jej zgniłoby zapewne do szczętu, zanim ktokolwiek by sobie o Idzie przypomniał. Ale to nic. Ona jest twarda i dzielna. Twarda i dzielna. Teraz będzie czytać gazetę i może znajdzie coś w ogłoszeniach „Nauka" lub „Praca", i na pewno nie będzie płakać nad swoją samotnością.

Dokończenie na str. 7